

L I N D A J A R O S C H

Kocham kobietę, którą jestem



Przełożył
Piotr Napiwodzki

WYDAWNICTWO WAM

POWRÓT DO
STARYCH WZORCÓW



W Biblii czytamy, że Maria Magdalena pozostała blisko Jezusa i szła z Nim aż do Jego ukrzyżowania. Wraz z paroma kobietami była przy Nim aż do Jego śmierci.

Miłość i siłę tych kobiet widać w tym, że towarzyszą człowiekowi nie tylko w czasach pomyślności, lecz także na jego drodze ku cierpieniu i śmierci. Nie unikają tego. Maria Magdalena i inne kobiety potrafiły być obecne nie tylko dlatego, że chciały towarzyszyć Jezusowi w cierpieniu, ale też ponieważ miały siłę, aby wytrzymać Jego umieranie aż do gorzkiego końca. Wykazały się odwagą i absolutną wiernością.

Być może jest to ta pierwotna wiedza kobiecej natury, dzięki której kobiety są zaznajomione z kręgiem życia i śmierci. Już fizyczne cykle kobiet włączają je w pasmo stawania się i przemijania. Być może to daje im wewnętrzną siłę i świadome podejście do tych spraw. Aby jednak zmierzyć się ze śmiercią człowieka, potrzeba także nieustraszonej i bezwarunkowej miłości.

Gdy kobieta zdaje sobie sprawę, jaką siłę ma jej miłość, potrafi znaleźć w sobie odwagę, aby towarzyszyć członkowi rodziny na drodze cierpienia. Wie, że nie odejmie cierpienia drugiej osobie, ale przekazuje jej, że idzie razem z nią, jeśli to konieczne – aż do końca. Kto się tego nie obawia, może doświadczyć czegoś świętego. Przeżycia w takich momentach przekraczają wszystko, co było wcześniej.



Pewna kobieta opowiedziała, jak trudne czasami było dla niej życie z mężem. Był alkoholikiem i ciągle balansował na granicy radzenia sobie z ekscesami spowodowanymi chorobą. Stawał się wówczas dla niej obcy i nie była w stanie wewnętrznie do niego dotrzeć. Mimo to postanowiła przy nim pozostać. Gdy zachorował na raka i wiedział, że zbliża się jego koniec, mogli obydwójce uporządkować to, co przez lata oddzielało ich od siebie. Czuli, że na końcu ich miłość znowu była silna. Mogli rozstać się w pokoju.

To trwanie w miłości ukazuje wielkość, którą nie każdy jest w stanie się wykazać. Jest to wyraźnie widoczne w historii Marii Magdaleny, gdy czytamy, że tylko ona i parę innych kobiet pozostało blisko, gdy ukrzyżowano Jezusa. Dzisiaj niektóre kobiety osądzają mężczyzn, że ci nie potrafią wytrzymać z kimś do końca. Tłumaczą to ich słabością. Mogą

być ku temu określone powody, ale zasadniczo mężczyźnie trudno jest poradzić sobie z poczuciem bezsilności, gdy nie może on nic zrobić, by zmniejszyć cierpienie. Dla kobiety jest oczywiste, że sama obecność może być dla człowieka w tej sytuacji pocieszeniem i wsparciem.

O Marii Magdalenie Pismo Świąte opowiada dalej, że trzeciego dnia po śmierci Jezusa, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, poszła do Jego grobu.

W tamtych czasach kobiety miały zwyczaj namaszczenia zwłok wonnymi olejami. Ten obrzęd służył przeprowadzeniu duszy przez próg śmierci. Kobiety celebrowały przejście do świata duchowego. Wykonywały czynności kapłańskie. Sens tego obrzędu bierze się prawdopodobnie z głębokiego przekonania, że człowiek przez swoją śmierć wkracza w wymiar nieskończony, w obszar boskości przekraczający wszystko, co ludzkie. W tym momencie dzieje się coś świętego, coś, co jest większe od wszystkich dotychczasowych doświadczeń. To przeżycie domaga się środków wyrazu, aby stało się bardziej namacalne.

We wcześniejszych epokach kobiety różne życiowe przełomy i przemiany celebrowały zawsze w obrzędach oddziałujących na zmysły. Namaszczenie zmarłego było sposobem na uczczenie go i jednocześnie okazją do czułego dotykania jego ciała. Kobiety wyczuwały, jak dobrze w tych fazach obrzędu działały dotyk i zmysłowe doświadczenia. Wiedziały o zawartych w nich uzdrawiających mocach. Może to

być inspiracją dla nas, aby wskrzesić pewne rytuały dla niektórych życiowych zwrotów. Gdy na przykład wspominam umieranie osoby z mojej rodziny, zdaję sobie sprawę, jak dobrze zrobiłyby wtedy rytuał dotknięcia albo nawet gest namaszczenia. Wówczas nie byłam jeszcze aż tak świadoma, aby to po prostu zrobić.

Kto musi opuścić człowieka, wie, jak bardzo wrażliwi są ci, którzy odchodzą. Delikatne dotknięcie albo pełen uczucia znak będą przyjęte z większą czułością niż wcześniej.



Przyjaciółka w krótkich odstępach czasu straciła w tragicznych wypadkach męża i syna. Była w głębokiej żałobie. Czerpiąc z własnej mądrości i kobiecej duchowości, stworzyła rytuały, które ją i jej bliskich wzmacniały i podnosiły na duchu. Gdy podczas żałoby szukała wsparcia duchowego przewodnika, on dał jej radę, aby zafundowała sobie masaż. Stwierdził bowiem: „Potrzebujesz dotyku”. Wiedział o uzdrawiającej mocy dotyku, wiedział, że głęboko wnika on zawsze także w duszę.

Biblia o tym nie wspomina, ale możliwe, że Maria Magdalena także szła do grobu z tą intencją, aby przez namaszczenie być blisko Jezusa.

Zastała jednak grób pusty, a w nim dwóch aniołów, którzy zapytali, dlaczego płacze i kogo szuka. Może nam się

wydawać, że to doświadczenie Marii Magdaleny nie ma nic wspólnego z naszym życiem dzisiaj. A jednak to jest również nasze doświadczenie.

Jeśli wyobrazimy sobie, że podczas spotkania z jakimś człowiekiem doświadczyłybyśmy miłości, która nas uzdrowia, prawdopodobnie czyniłybyśmy wszystko, aby pozostać blisko tej osoby. Chciałybyśmy dalej doświadczać tej miłości. Wyrwałyby nas ona z codziennych ograniczeń i prowadziłyby w obszar, w którym mogłybyśmy pełniej doświadczać siebie. Znamy te chwile, w których jesteśmy całkowicie sobą, w których czujemy się kochane przez życie. Mają w sobie coś wzniosłego, gdyż jesteśmy w łączności z naszą najgłębszą istotą. Ciągłe na nowo poszukujemy takiego doświadczenia.

Możemy stwarzać takie chwile także dla innych, gdyż czymś uzdrawiającym jest, gdy przez miłość komunikujemy drugiej osobie, że jest dla nas wyjątkowa, gdy ofiarujemy jej poczucie, że może być tym, kim jest. Osiągamy to tylko w ulotnych momentach, to nie jest trwale uczucie. Tam jednak, gdzie się nam udaje, ukazujemy drugiemu człowiekowi coś z tej miłości, której jako uzdrawiającej siły doświadczyła Maria Magdalena. Właśnie tę miłość możemy nieustannie odnawiać. Możemy demonstrować ją wiele razy dziennie i same ją przeżywać. W niej wyraża się coś twórczego – a to, co twórcze i pełne fantazji, jest dla nas, kobiet, czymś bliskim, czymś, co odpowiada naszej kobiecej naturze, właśnie

dlatego, że pozwala wyrażać miłość. Naszą decyzją jest, czy tę twórczą moc w nas widzimy i rozwijamy, czy też pozostawiamy ją w nas niewykorzystaną. Jezus w każdym razie wiedział, dlaczego dotknął swoją miłością taką kobietę jak Maria Magdalena. Ona sama musiała najlepiej to rozumieć i żyć w Jego duchu. Przez to przyczyniła się do pojawienia się na świecie czegoś nowego.

To może być naszym udziałem także dzisiaj. Każdego dnia możemy przyczynić się do zaistnienia czegoś nowego w relacjach międzyludzkich. Istnieje w nas to wznioślejsze „ja”, które pozwala nam odkryć, że zaakceptowanie drugiego człowieka go wzmacnia, że wsłuchanie się prowadzi do otwarcia i większej ufności, że życzliwe słowa i gesty rozpalają, że dzięki miłości można odnaleźć w sobie to, co najlepsze. Wiemy, że to może uszczęśliwić każdego człowieka – a także nas.

Wskazówka „wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno” opisuje, co Maria Magdalena musiała przeżyć po śmierci Jezusa. Jezus był dla niej wszystkim. Dzięki Niemu dotarła do życia nowego rodzaju, znalazła miłość, która była większa od wszystkiego, co знаła. Chciała żyć dalej tym, czego jak w akcie inicjacji dowiedziała się o miłości. Nagle, wraz z Jego śmiercią, ta nadzieja umarła. W Marii Magdalenie musiało być „ciemno”, być może powróciła do stanu sprzed uzdrowienia: bez perspektyw, bez zaufania – znamy to z własnego życia.

Dzisiaj możemy otrzymać mocny impuls dla naszego życia – impuls ukazujący nam nową drogę – przez innego człowieka, książkę, odpowiednie kursy, przez przyrodę lub ciszę. Odczuwamy wówczas ożywienie, obieramy nowy kierunek i rozumiemy, jakiej siły właśnie potrzebujemy. Ponownie wiemy, jak mamy działać albo myśleć. Zwykle znajdujemy dla naszego życia nowy sens, który nas wzmacnia. Często trwa to pewien czas, aż dochodzimy do sytuacji, w której znowu wpadamy w stare schematy. Czasami widzimy to od razu, czasami jednak nie. Wówczas wzmocnią się w nas te zachowania, o których myślałyśmy, że już zostały przez nas przezwyciężone.

Niektóre kobiety czują się na przykład pozbawione nadziei, gdy uważają, że pokonały już depresję, a ona znowu się pojawia. Odczuwają lęk, gdy ponownie uwidaczniają się symptomy choroby, z której jak myślały, już się wyleczyły. Są zrezygnowane, gdy nie potrafią zachowywać się w stosunku do partnera tak, jak sobie założyły.



Kobiety opowiadały o tym, jak same siebie oskarżają: „Czy ciągle jeszcze nie jestem w stanie zostawić tego za sobą?” albo: „Jestem już taka stara, a ciągle nie potrafię działać inaczej”; „Ciągle nie mogę wyjść z żałoby, chociaż wszyscy mówią, że muszę wreszcie uporać się ze stratą”. Oskarżają się przy tym,

bo uważają, że powinny być już na tyle daleko, aby zostawić za sobą przeszłość. Wyobrażają sobie, że należałoby ciągle iść tylko do przodu.

Doświadczenie Marii Magdaleny pokazuje, że powrót do starych wzorców jest normalną drogą człowieka, częścią naszego życia. Wskazuje nam, że uzdrowienie nie dokonuje się od razu, lecz w wielu małych krokach. Czy chcemy na nowo myśleć lub na nowo działać, czy chcemy kogoś zostawić lub też wykazywać się większą czułością w naszych relacjach – dążąc do tego, będziemy ciągle upadać. Już sama wiedza o tym zmniejsza nieco zniechęcenie, które może nas przy tym łatwo dopaść.

Bez ciągłego wprawiania się w nowy wzorzec myślenia i postępowania uzdrowienie się nie dokona. Wymaga bowiem czasu i cierpliwości. Mamy je tylko wtedy, gdy ufamy, że wszystko już jest w nas obecne. W świecie wokół nas słońce również nie jest zawsze widoczne, a mimo to wiemy, że ono jest, nawet jeśli bywa zakryte. Potrzebujemy odwagi, aby ciągle zaczynać na nowo, gdy właśnie uczyniliśmy krok w tył.

To rozpoczynanie od nowa w drodze Marii Magdaleny opisane jest słowami: „Gdy jeszcze było ciemno, poszła do grobu”. Mogła być pogrążona w swoim dawnym stanie, ale to, co nowe, już w niej było. Nie trwała bowiem w nieskończoność w swoim smutku, postanowiła wyruszyć. Musiała

dostrzec, że trwanie w tych uczuciach nie jest dla niej żadnym rozwiązaniem. W ciemności, która prawdopodobnie oznaczała dla niej także samotność, ruszyła z miejsca.

To właśnie nas umacnia: wpadając ponownie w stare koleiny zachowań lub w dawny smutek, zawsze już mamy w sobie nowość. Jesteśmy spokojniejsze, gdy wiemy, że pozorne kroki wstecz mimo wszystko prowadzą nas naprzód. Nie musimy się przy tym oskarżać, po prostu idziemy dalej. To daje nam odwagę, aby iść własną drogą na swój sposób, własnym krokami, czy to do tyłu, czy do przodu.

Labirynt jest trafną ilustracją naszego wędrowania do przodu i do tyłu. Odgrywa ważną rolę także w radzeniu sobie z żałobą. Wydaje się często, że jesteśmy niedaleko od celu, że w końcu dochodzimy do środka albo do wyjścia, a później droga wiedzie ponownie w przeciwnym kierunku. Nie oznacza to jednak, że się zgubiłyśmy, jak to może się zdarzyć w labiryncie; pozostajemy ciągle na drodze do środka, tylko droga prowadzi inaczej, niż myślałyśmy (lub chciałyśmy).

Obraz labiryntu jest bardzo pomocny, aby nie ulec zwątpieniu i nie ganić samej siebie, że najwyraźniej popadłyśmy w stare schematy albo nie zaszłyśmy tak daleko, jak się spodziewałyśmy.

Maria Magdalena poszła do przodu, gdy tylko wydobyła się z beznadziei, w którą prawdopodobnie wcześniej wpadła. Musiała także w swoim smutku szukać czegoś, czego mogła się trzymać, nawet jeśli było to tylko wspomnienie

o Jezusie. Być może dzięki temu wspomnieniu mogła ponownie odczuć, jak pełna życia czuła się w Jego obecności. Miała nadzieję, że spotkanie z martwym Jezusem przyniesie jej ponownie coś z tej miłości i życia, które wydawały się jej stracone. Ta nadzieja musiała przemienić się w zwątpienie, gdy grób okazał się pusty. Nie było już bowiem nic zewnętrznego, czego w swoim zagubieniu Maria Magdalena mogłaby się trzymać. Także to zostało jej zabrane. W tym momencie wypłakiwała cały swój smutek, całą swoją pustkę i gorycz.

Nie są nam obce sytuacje, w których nie mamy nic innego niż łzy, aby opłakiwać brak, rozczarowanie albo głęboko dotykającą nas stratę. Coś może się rozsypać, zostać nieodwołalnie stracone, zamknąć perspektywy na przyszłość. Smutek z powodu wypalanej miłości, zniszczonego szczęścia albo utraconego zdrowia może wypływać z nas jak przy przerwaniu tamy, gdyż nie ma niczego, co mogłoby go zatrzymać. Często nie ma w nas już żadnych słów, które mogłyby zaradzić bólowi; wyrazić go mogą tylko łzy. Niejednokrotnie nie mamy poczucia, że ktoś dostrzega ten płacz – być może także wcale byśmy tego nie chciały. Raczej w smutku pragniemy być same, chociaż skrycie chcielibyśmy, żeby ktoś był przy nas i w naszej samotności zobaczył nas i wsparł.

To było doświadczenie Marii Magdaleny. Opisuje je zdanie: „Kiedy płakała, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch

aniołów, którzy rzekli do niej: «Niewiasto, czemu płaczesz?»». Czy dzisiaj także mamy takie przeżycia, czy też są one dla nas czymś obcym? Czy słowo „anioł” nie jest dla nas zbyt abstrakcyjne, abyśmy mogły przenieść je na nasze życie?

Zwrócenie się do kogoś „niewiasto” było wówczas prawdopodobnie formą grzecznościową wyrażającą szacunek. To, że zwrócono się do Marii Magdaleny z takim szacunkiem w momencie, gdy płakała, każe nam zadać pytanie, czy z szacunkiem podchodzimy do własnego płaczu, czy postrzegamy go raczej jako słabość i być może wstydzimy się, gdy nim wybuchamy, zwłaszcza przed innymi. Myślimy wówczas, że nie panujemy nad sobą albo okazujemy swoją bezsilność. Inni zwykle czują się przy tym niezręcznie i nie wiedzą, jak zareagować. To jednak nie płacz jako taki stanowi problem, ale jego negatywna ocena – nasza lub innych. Płacz jest najbardziej naturalnym wyrazem zranienia, bólu i smutku. Gdzie słowa nie wystarczają, tam potrzeba łez. Łzy łagodzą, oczyszczają i uwalniają. Nie wstydzimy się, gdy się śmiejemy lub gniewamy, dlaczego zatem mamy się wstydzić, gdy płacemy? Potrzebujemy szacunku dla naszego płaczu, większej serdeczności wobec nas samych.

Także doświadczenie spotkania z aniołem nie jest nam obce. Na przykład gdy w trudnej sytuacji pojawia się człowiek i robi dla nas coś dobrego, mówimy: „Byłeś/byłaś dla mnie jak anioł”. W takich chwilach od tych ludzi promieniuje

coś ratującego nas lub pocieszającego. Odbieramy to jako dar, gdy ktoś jest z nami w naszym smutku – często bowiem dopiero doświadczając głębokiej straty, poznajemy, kto jest nam rzeczywiście bliski. Bywa, że jest to połączone z rozczarowaniem, gdy dobrzy przyjaciele pojawiają się coraz rzadziej i nie mają zamiaru w najmniejszym stopniu uczestniczyć w naszym doświadczeniu straty. Zwykle są zdezorientowani: nie wiedzą, jak postępować z czyimiś trudnymi uczuciami, a najchętniej w ogóle by się z nimi nie konfrontowali. Czasami przejdą nawet na drugą stronę ulicy, by uniknąć udzielania jakiegokolwiek pociechy – czy to słowem, czy gestem. Oni nie stają się aniołami.

Od anioła promieniuje coś w rodzaju światła i dlatego sztuki plastyczne prezentują aniołów zwykle w lśniących szatach. Anioł niekoniecznie musi być osobą; ukazuje się nam czasami jako wewnętrzny impuls, nagła inspiracja, która w trudnej sytuacji otwiera nas na coś nowego. Może objawia nam się jako zdanie w książce, które coś ważnego mówi nam o nas samych, albo fraza w muzyce, która dotyka w nas czegoś, co odczuwamy jako podnoszące na duchu. Te pełne światła momenty są jak aniołowie, którzy coś mówią naszej duszy. Tych impulsów doświadczamy jednak tylko wtedy, gdy jesteśmy na nie otwarte. Gdy zbyt głęboko tkwimy w żalu, nie dostrzegamy żadnego blasku w naszym życiu. Przeoczmy wówczas każdego anioła, który mógłby dać nam nieco światła.

Potrzebujemy w takich chwilach czegoś, co wyrwie nas z zagubienia w naszym bólu. Gdy na przykład ktoś dostrzeże nasz smutek i pyta: „Dlaczego płaczesz?”, od razu przykuwa to naszą uwagę. Czujemy się dostrzeżone. Nasze zwątpienie zaczyna się nieco kruszyć. Co więcej, dzięki temu pytaniu zaczynamy dostrzegać, dlaczego jesteśmy aż tak załamane. Czy pytanie to zadają nam ludzie wokół nas, czy też robimy to same, wymaga ono od nas lepszego zrozumienia własnej sytuacji. Co oplakujemy? Czy to zadane przez kogoś zranienie, czy stałe poczucie braku, czy też są to nasze niewypłakane łzy jeszcze z dzieciństwa? To, co jest przyczyną naszego płaczu, chce zostać nazwane.

Gdy ktoś zadaje nam pytanie: „Dlaczego płaczesz?”, na początku się skarżymy albo wyrażamy gorycz w związku z tym, co utraciliśmy albo co nas boli. Maria Magdalena skarżyła się, że zabrano jej to, co miała najdroższego w swoim dotychczasowym życiu. Być może taki sens ma także nasza skarga, że musimy żegnać się z człowiekiem, który był dla nas najdroższą osobą, a my nie wiemy, jak bez niego dalej żyć. Może skarżymy się na utracone zdrowie: dotąd było dla nas tak oczywiste, a nagle nas opuściło i w jednym momencie stałyśmy się słabe. A może żal nam naszej pracy, której oddawałyśmy się z taką pasją i z której musiałyśmy zrezygnować. Być może płacemy, bo wyczuwamy, że utraciliśmy miłość w naszym związku.



Pewna kobieta opowiadała, że jej matka przez całe życie skarżyła się na utratę ojczyzny, z której została wypędzona. To był ból jej życia, nieustannie nad tym ubolewała.

Co zrobić, aby sobie poradzić ze stratą i nie utknąć w żalu? Doświadczenie Marii Magdaleny wskazuje nam wyjście. Dowiaduje się ona od anioła, że w grobie nie ma Tego, którego szuka. Jeśli nie chce utkwąć w swojej żałobie, musi odwrócić się od grobu.

To jest drogowskaz dla nas. Potrzebujemy czasu żałoby i wspomnienia o tym, co utraciliśmy. To jest czas spoglądania wstecz, w którym ciągle na nowo chcemy ożywić dobre uczucia. Często jednak w spoglądaniu wstecz pielęgnujemy ból związany z dawnymi zranieniami, aby ciągle kogoś oskarżać. Jak często lamentowałyśmy w ten sposób nad zranieniami zadanymi przez rodziców, rodzeństwo, fałszywych przyjaciół albo innych ludzi? Nieustannie patrzymy w przeszłość i powtarzamy to, na co już wiele razy się skarżyłyśmy. Kurczowo trzymamy się wersji, że coś takiego nie miało prawa się wydarzyć. Chciałybyśmy jeszcze w przeszłości coś od tych osób otrzymać, co w naszym odczuciu powinny nam dać. W ten sposób ciągle rozdrapujemy nasze rany i nie pozwalamy im się zagoić. To tak, jakbyśmy ciągle szły do grobu i szukały czegoś, czego już tam znaleźć nie można.



Pewna kobieta dostrzegła, że ciągle narzekała na dominujący sposób bycia swojej matki. Nie mogła tego zaprzestać, gdyż uważała, że matka do dzisiaj determinuje jej życie. Również swój dystans wobec matki usprawiedliwiała ciągle powtarzanymi oskarżeniami. Dopiero własna choroba uświadomiła jej, jak bardzo w swoim życiu była skoncentrowana na przeszłości. Zobaczyła, że przegra swoje dalsze życie, jeśli nie będzie potrafiła uwolnić się od stałego oglądania się za siebie.

Dla każdej z nas przychodzi moment, w którym musimy pozwolić na pogrzebanie czegoś: niesprawiedliwości, zranienia, straty. W przeciwnym razie nie odnajdziemy życia, które pomimo ran jest naszym własnym życiem. Nie należy tylko do przeszłości, lecz jest życiem tu i teraz, w nas. Jeśli mamy tę świadomość, może ona być dla nas jak anioł wybawiający nas z ciągłego patrzenia wstecz i kierujący nasze spojrzenie w przód. Do tego potrzeba zawrócenia, odwrócenia się od tego, co ostatecznie zostało pogrzebane, i zwrócenia się ku temu, co teraz chce zostać ożywione.